

Warszawa dnia 27 Lipca / 8 Sierpnia 1866 roku.

Nr 32. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. (Redakcja i Ekspedycja główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715). | Rok II.



Piotr Beranger.—(Wycięto w drzeworytni w Petersburgu).

PIOTR BERANGER.

Znakomity narodowy francuzki poeta Piotr Beranger (czyli Beranże) urodził się w 1780 r. w Paryżu, w domu swego dziada, krawca, u którego też spędził piérwsze lata dziecinne. Dziadek i babka nie bardzo go do nauk zapędzali, to też młody Piotruś, więcéj bąki zbijał aniżeli się uczył. Oddał go wreszcie ojciec, nie bardzo się o syna troszczący, na pensję Ś-go Antoniego, ale i tutaj Piotruś nie wielkie uczynił postępy. Tymczasem wybuchła pamiętna francuzka rewolucja, a ponieważ ojciec nie chciał płacić za syna, wydalono go z pensji. Niedouczony młodzieniec oddany został do swéj ciotki, oberżystki w Peronne w Pikardji. Niewiasta ta zwolenniczka nowego stanu rzeczy, opiekowała się miejscowém ubóstwem, słynęła z miłosierdzia, i zacnę tę cnotę umiała zaszczepić w młodocianym umyśle wychowanka. Musiał tu jednak chcąc nie chcąc wziąść się do katechizmu i innych książek, w których naturalnie o wyborze mowy być nie mogło. W czasie swobodnym pomagał ciotce usługiwać gościom; mył szklanki i t. d. Wreszcie umieszczono go w perońskiéj szkole, z któréj dostał się na zecera do drukarni. Tu po raz pierwszy uczuł, że jest poetą, jakkolwiek ani się domyślał jeszcze w jakim się rodzaju poezją odznaczy.

W r. 1798 wrócił do Paryża i mieszkał czas jakiś przy swoich rodzicach, którzy długo żyjąc w seperacji, wreszcie się pogodzili, nie na długo jednak, bo matka wkrótce umarła. Ojciec zajmował się bankowemi operacjami i nieźle mu się powiodło. Raz zapytał syna, czém myśli być w przyszłości? Piotr odpowiedział: „Pragnę być poetą.” Odtąd wiele pracował nad sobą, ale ponieważ nie znał żadnego obcego języka, musiał poprzestać na czytaniu dzieł francuzkich. W tym też czasie i sam zaczął pisać, a pierwszym jego utworem była komedja, którą spalił, nie mogąc się doczekać jéj przedstawienia. Takiż los spotkał mnóstwo ód, dytyrambów, sielanek, ballad, a nawet epopeję i t. d.

Nagle jednak fortuna tyłem do niego się obróciła: ojca aresztowano za sprzyjanie wygnanéj dynastji Burbonów, syn został żebrakiem. I lubo nędza jego do tego stopnia dochodziła, że całemi tygodniami nic nie jadł, prócz zupy z chleba (chleb z wodą), przecież nie tracił humoru ani nadziei, że kiedyś lepiéj będzie. Pomimo jednak takiéj mocy ducha, ciało nie mogło oprzeć się niedostatkom: w 23 roku życia Beranże wyłysiał i wyglądał na 45-cio letniego. To go ochroniło wprawdzie od konskrypcji, ale nie wiadomo, jakby długo od śmierci strzegło, gdyby Lucjan Bonaparte, brat generała Napoleona, do którego poeta rozpaczliwy list napisał, nie przyszedł mu z pomocą. Jakkolwiek jednak ani na chwilę nie stracił samodzielności ducha, i mówił w obec swego dobroczyńcy, co mu przekonanie dyktowało, ten jednak przygarnął go do swego serca, nie tylko życzliwie, ale po przyjacielsku. I lubo potém Lucjan pogniewał się z bratem Napoleonem i wyjechał do Rzymu, nie zapomniał przecież o swoim protegowanym i darował mu całą swą pensję, którą pobierał jako członek francuzkiego Instytutu. Postawiony tym sposobem poeta na nogi, nie prędzéj atoli mógł okazać swą wdzięczność zacnemu dobroczyńcy, jak w 1830 r., w którym dzieła swoje mu poświęcił.

Pensję tę pobierał od 1805—1812 r., mając prócz tego posadę ekspedytora w ministerjum oświaty, przy 1,200 frankach pensji. To mu wystarczało na skromne życie, a że czasu miał nie mało, zajmował się więc w godzinach wolnych układem epopei, lub częściéj jeszcze, tworzył pieśni dla swéj kochanki Elżbiety (Lizetty) i dla swych przyjaciół. Nawet mu na myśl nie przychodziło wydrukować niektóre z tych ostatnich, dla poprawienia swoich interesów. Ale sławna pieśń: „*Le roi d'Jvetot,*” rozeszła się tak prędko po całéj Francji, jakby była drukowaną. I lubo wymierzoną była przeciw Napoleonowi, ten przecież nie tylko się tém nie obraził, ale często nawet powtarzał, w obec zdumionych dworaków, ostatnią zwrotkę téj prześlicznéj piosenki. Również nadpodziw życzliwe przyjęcie znalazła następna pieśń: „*Le Senateur*” (senator), która wraz z poprzednią wielki rozgłos zjednała Beranżerowi. Odtąd li-tylko pieśniom się poświęcił. Drukować ich nie było prawie potrzeby, tak one przypadały do usposobienia francuzów, że kto taką pieśń raz posłyszał, już zapamiętał jéj tekst i melodję, już ją nucił nieustannie, instynktowo i bezwiednie prawie. Beranże stał się narodowym poetą. Każdą swą pieśń usnuł albo na upodobaniach i skłonnościach narodu, albo poświęcił ją tym mężom, co naród umiłowali, co powszechną budziło sympatją. Inni poeci rośli i ginęli bez śladu: Beranże niepożyty wiekami, wybudował sobie pomnik w sercach miljonów.

Runął wreszcie Napoleon, ten istny kolos Zachodu. Dynastja Burbonów znowu na tron francuzki wróciła, a lubo nowy stan rzeczy nie bardzo sprzyjał poecie, wydał jednak w r. 1815 pierwszy zbiór swych pieśni. Ludwik XVIII wysoce je cenił, to wszakże nie uchroniło Beranżera od ostréj nagany ze strony jego zwierzchności. Za kilka nowych pieśni („*La gaudriolfe, Vieuxhabits, Les demoiselles*”), zagrożono mu nawet utratą posady. Prócz tego kursowało wówczas mnóstwo jego świstków satyrycznych po Paryżu, wymierzonych przeciw arystokracji, ale ponieważ nie były one podpisane, nie czepiano się do Beranżera. W r. 1821 wystąpił z ministerjum oświecenia dobrowolnie. Jednocześnie wyszedł drugi zbiór jego pieśni, które z jednakowém uniesieniem zostały przyjęte. Śpiewano je w szynkach i koszarach, przy pługu i warsztacie, w ubogich izdebkach i wspaniałych salonach; do takiéj popularności nie doszedł żaden poeta, nie tylko Francji, ale być może na świecie całym.

Inaczéj jednak na te pieśni zapatrywali się ludzie, którym solą w oku była wzrastająca z dniem każdym sława Beranżera; z ich poduszczenia zabrano mu 10,000 egzemplarzy pieśni i wezwano przed sąd przysięgłych, który go jako wichrzyciela porządku publicznego, skarał na miesięczne więzienie i karę 500 franków. Ale wówczas gdy sąd się odbywał, w sali sądowéj rozdawano, ma się rozumieć skrycie, nową pieśń p. t. „*Muza uciekająca.*” Nawet w więzieniu nie opuściła go wesołość i natchnienie: cztéry pieśni wybiegły ztamtąd na świat. Nie możemy tu pominąć okoliczności, iż dzienniki rojalistyczne opisując proces poety, przedrukowały też najbardziéj satyryczne jego pieśni, które miały służyć do jego potępienia, tym sposobem same się przyczyniły do upowszechnienia tego, co potępiały.

Po wyjściu z więzienia Beranże żył z dochodu, jaki mu przynosiły jego pieśni. Trzecie wydanie w r. 1825 nie wywołało żadnéj burzy ze strony rzą-

du, ale inaczéj się stało z czwartém, w którém dotknięci byli Jezuici. Beranże został znowu wezwany przed sąd policji poprawczéj, który go skazał na 9 miesięcy więzienia i karę 10,000 franków. Tę summę natychmiast spłacono z dobrowolnych ofiar.

Beranże gdyby chciał tylko, łatwo mógłby się stać bogatym, ale byłto człowiek zanadto skromny i wierny swym zasadom, aby sięgał po jakiekolwiek dostojeństwa i zaszczyty. Przestając na małém, nie zazdrościł nikomu bogactw, a jakkolwiek energicznie powstawał na prywatne nadużycia, nie żywił przecież przeciw nikomu nienawiści, chłostał wady z potrzeby, a nie ze złośliwości. Poezji swoich nie szpikował, idąc w ślady klasycznych poetów, nazwami bóstw mitologicznych, a rzecz każdą nazywał jéj imieniem, to mu wprawdzie zjednało niesłychaną popularność, lecz zarazem zamknęło podwoje akademji nauk, któréj członkowie nie mogli zrozumieć poezji bez mitologji, poety bez napuszoności.

Jak zaś dalece pozostał wierny swoim idejom, z tego się najlepiéj okazuje, że gdy w r. 1850 rząd się zmienił i dawni przyjaciele jego najpierwszych godności dostąpili, Beranże nie tylko niechciał z tego korzystać, ale nawet nie przyjął ofiarowanéj sobie teki ministra oświaty i wyznań, co mówiąc nawiasem, zupełnie nie przypadało do jego usposobienia. Owszem, unikając gwaru światowego i nieustannych odwiedzin, które go już na starość dręczyć poczęły, opuścił Paryż i osiadł w wiejskiém ustroniu, i tu wszakże przyjaciele nie dali mu spokojności. Jak zaś dalece wszyscy byli spragnieni jego widoku, jak go powszechnie ceniono, przytoczym tylko następne fakta:

Pewien bogaty człowiek ciągle o tém marzył, jakby zobaczyć Beranżera, ale nie nadarzała się mu do tego zręczność. Raz dowiedział się, że szewc, który mu szył obuwie, właśnie miał odnosić bóty Beranżerowi. Prosi go więc, aby wziął go ze sobą, a przynajmniéj powierzył mu obuwie, jako niby swemu czeladnikowi. Szewc przystał, a uszczęśliwiony bogacz, nie mógł się wydziwić, że tak wielki poeta, na tak małém przestaje. Cały zajęty widokiem takiego męża, zapomniał o swéj roli i wzuł mu bót z lewéj nogi na prawą.

Raz Beranże szedł przez ulicę i wrzucił żebrakowi w czapkę dwa soldy. Widząc to jakiś bogacz, podchodzi do żebraka i mówi:

— Mój kochany, dam ci 5 franków (100 soldów), za te dwa soldy, które ci ten pan wrzucił do czapki.

— A to dla czego proszę pana? zapytał zdziwiony żebrak.

— Dla tego, że pieniądze te dał ci Beranże.

— Więc to Beranże?

— Tak.

— Jeżeli tak, to te dwa soldy schowam dla siebie na pamiątkę.

Lubił Beranże wspierać ubogich i nieszczęśliwych, to też każdy z zaufaniem zbliżał się do niego. I tak dalece posuwał często swą szczodrobliwość, że samemu nie wiele pozostawało. Potrzebującym pożyczał pieniądze na słowo, a jeżeli nie mogli oddać, darowywał je. Sam zaś za nic w świecie nic od nikogo niechciał przyjąć, żyjąc dochodami ze swoich poezji. W 1834 r. ustąpił księgarzowi Perotenowi, prawo wydawania wszystkich swych wyszłych i wyjść mających utworów, za lichą dożywotnią pensję 800 franków! Ale zacny nabywca nie korzystał z tyrańskich warunków umowy i oddawał autorowi należną część, a nawet dobrowolnie podwyższył ją do 4,000 franków. Teraźniejsza cesarzowa francuzów proponowała mu podwójną dożywotnią płacę, ale Beranże nie przyjął. Kilkakrotnie obdarzano go honorowemi znakami, ale poeta skromnie się od nich zawsze wymawiał, niechcąc się krępować żadnemi zobowiązaniami. Nawet akademja francuzka uleczona ze swych przesądów, kilkakrotnie ofiarowała mu opróżnione krzesło, ale Beranże ani słuchać nie chciał. W roku 1848 więcéj niż 204,000 głosów z departamentu Sekwany, obrało go swym reprezentantem, lecz poeta grzecznie a rzewnie się wymówił podeszłym wiekiem, osłabioném zdrowiem i przyzwyczajeniem do samotności. Nie podobna mu jednak było uniknąć ludzi: zamknięty w małém kółku wiernych przyjaciół, nie mógł się prawie na ulicy pokazać, aby się obeszło bez jakich owacji, miłych wprawdzie temu, komu były okazywane, ale nużących. Z tych wszystkich atoli najmilszą dlań była wdzięczność ulicznych śpiewaków i grajków, którzy w liczbie 800 osób przyszli do niego, jako, *„do ojca pieśni,”* i przez usta wybranego starca, krótko lecz serdecznie przemówili. To uznanie najniższych warstw ludu, bo owi śpiewacy byli to poprostu z jałmużny żyjący nędzarze, głębiéj wzruszyło poetę, niż wszelkie zaszczyty, jakie w życiu swém otrzymał.

Beranże na parę miesięcy przed śmiercią, przepowiedział swój zgon: zmarł dnia 16 Czerwca, roku 1857, skutkiem choroby sercowéj, na którą już oddawna cierpiał. Na kilka dni przed śmiercią, spalił wszystkie rewersa swoich dłużników, a szczupły swój majątek, przekazał uboższym przyjaciołom. Słusznie też, schodząc z tego świata, mógł powiedzieć: „Wielkie to szczęście, mieć możność robienia dobrze, w ciasném swojem kółku.”

Jak się łatwo dorozumieć, pogrzeb odbył się z niesłychaną wspaniałością. Natłok tak był ogromny, że w wielkiéj odległości od domu nieboszczyka zagrodzono ulice, i tylko wpuszczano tam osoby opatrzone zapraszającemi biletami. Przekupnie roznosili do sprzedania jego biusta i medale pamiątkowe; kondukt pogrzebowy otaczały dwa szeregi wojsk; a około trumny postępowała żandarmerja, straż miejska, muzyka wojskowa, duchowieństwo, lud, karety, z których jedna cesarska z adjutantem i sekretarzem Napoleona III. Domy przy ulicach, któremi ciało prowadzono, były okryte widzami, których okrzyki „cześć Beranżerowi!” po całym Paryżu się rozlegały. Takiego to uznania doczekał się wnuk krawca.

Mścisław Kamiński.

PIEŚŃ PRZY ŻNIWIE.

Słońce spada coraz niżéj,
Wkrótce wieczór już zaświta,
Koniec łanu coraz bliżéj,
Dzisiaj skończym żniwo żyta.
Snop do snopa,
Będzie kopa;
Raźno w zboże!
Bóg pomoże.

Słychać z dala szum w potoku,
Co przylega do zagona,
Jeszcze tylko przestrzeń kroku,
Praca nasza już skończona.

Snop do snopa,
Będzie kopa;
Raźno w zboże!
Bóg pomoże.

Kto najprędzéj z nas się zwinie,
Nagroda go nie ominie;
Słaby, silny, stary, młody,
Daléj wszyscy héj w zawody!
Snop do snopa,
Będzie kopa;
Raźno w zboże!
Bóg pomoże.

Z zebranego dzisiaj zboża
Chodźmy wieniec piękny spleść,
W dworze czeka panna hoża;
A jéj warto wieniec nieść.
Snop do snopa,
Będzie kopa;
Raźno w zboże!
Bóg pomoże.

Koniec żniwa, koniec łanu,
Pieśń zanuci nam nasz chór;
Chodźmy odnieść wieniec panu,
Tam nas czeka cały dwór.
Snop do snopa,
Będzie kopa;
Raźno w zboże!
Bóg pomoże.

Bronisław Łoziński.

Adelajda Ristori w roli Medei.

Niemasz zapewnie ani jednego z czytelników Opiekuna, któryby nie słyszał choć przelotnie o znamienitéj artystce dramatycznéj pani Adeladzie Ristori, któréj wizerunek w roli Medei, znajduje się na załączonym drzeworycie. O niéj to, również jak i o tragedji Medei, pokrótce chcemy wspomnieć, przekonani, że wszystko co zyskało jakąś sławę, zasługuje na naszą uwagę i poznanie.

Adelajda Ristori urodziła się we Friulu (we Włoszech) 1821 r. z rodziców należących do lichej truppy wędrownych aktorów. W 4-ym już roku życia grywała role dziecinne, w 12-m subretek i niewiniątek, wreszcie w 14-m wystąpiła we *Franciszce z Rimini*, sztuce Sylwjusza Pellico. W piętnastym roku życia wstąpiła do truppy sardyńskiej do któréj i dotąd należy. Talent jéj rozwinął się natenczas szczególnie w rolach kochanek, w komedjach; wówczas bowiem głównie tylko w tym rodzaju sztuk dramatycznych występowała. Sława jéj z dniem każdym wzrastała, publiczność obsypywała ją wieńcami, a poeci pisali dla niéj komedje. Związek małżeński z markizem Capranica del Grilo w r. 1847, zdawało się, że już na zawsze wyrwie ją ze sceny, ale uczynek miłosierny wrócił ją na deski teatralne i nowe zaszczyty zgotował.

Pewien zrujnowany przedsiębierca teatralny, błaga ją aby na jego korzyść choć jednego wieczora w publicznym teatrze wystąpiła, dumna familja męża ani słuchać o tém nie chce, wreszcie z największą niechęcią, zezwala. Tryumf, jaki na tym wieczorze odniosła Ristori, przeszedł wszelkie oczekiwanie i obalił zastarzałe przesądy familji. Pani Ristori (bo nazwisko to zawsze zachowała) znowu występuje na scenę, a idąc za poradą jednéj ze swych przyjaciołek, uczy się ról tragicznych. W Rzymie 1849 r. miała w nich występować, ale stolica chrześcijańska była wówczas w oblężeniu, nie bukiety na część artystki, lecz bomby nad strwożoném miastem latały. Ristori, idąc za popędem szlachetnego serca, staje się na czas jakiś siostrą miłosierdzia, z troskliwością pielęgnuje chorych i ranionych w szpitalach. Takto prawdziwy talent zawsze idzie w parze ze szlachetnoscią.

Dopiero w r. 1850 rozpoczęła na nowo swoje



Adelajda Ristori w roli Medei.—(Drzeworyt Paryzki).

przedstawienia, występując w rozmaitych tragedjach Alfierego. Odtąd staje się pierwszorzędną artystką europejską: miasta włoskie wyrywają ją sobie, nawet Paryż, ten dumny, zarozumiały, pyszny nowożytny Babilon, wysila się w środkach na jéj przyjęcie, rozkupuje massami jéj portrety, pisze ody, wyprawia owacje, szczerze wreszcie namawia, aby przy niezmiernie korzystnych warunkach, weszła w skład opery włoskiéj w Paryżu. Lecz Ristori była Włoszką i patrjotką: nad skarby obczyzny, przeniosła swą ziemię rodzinną i pozostała w Turynie.

Odtąd jednak co lat 3 nawiedza Paryż i inne sto-

lice Europejskie, nie wyłączając naszéj Warszawy, w któréj po dwakroć bawiła. Na tém większą pochwałę pani Ristori powiedzieć możemy, że o ile jest znakomitą artystką, o tyle wyborną matką rodziny, o ile łatwo się przejmuje najrozmaitszemi rolami, o tyle jest prostą i skromną w domowém pożyciu.

W żadnéj jednak roli nie jest tak doskonałą pani Ristori, jak w Medei. Sztukę, noszącą tęż samą nazwę co ta główna rola, napisał po francuzku pan Legouvé, dla znamienitéj francuzkiéj artystki panny Rachel, a gdy ta nie przyjęła jéj, powierzył ją pani Ristori, dla któréj przełożoną została na język włoski. Sztuka to mierna, tylko główna jéj rola dziwnie przypada do usposobienia i talentu pani Ristori, bez któréj zapewnie nie miałaby nawet żadnego powodzenia. Takto od artysty całe powodzenie nieraz sztuki zawisło.

Lecz któż to jest ta głośna dziś w całéj Europie Medea?

Posłuchajcie, co o niéj stare greckie baśnie bają.

W dalekiéj Kolchidzie, nad brzegiem morza Czarnego, dawno to a dawno, królowi tamecznemu Aëtesowi i żonie jego morskiéj nimfie Idyi, urodziła się córka Medea, która nie na pociechę rodzicom wzrastała, bo zasłynęła z czasem jako niezrównana wiedźma, czyli po prostu czarownica. Pomimo tak niepochlebnéj reputacji, serce miała zupełnie ludzkie, ba! kobiece nawet, jak się to okazało z jéj miłostek z greckim bohaterém Jazonem, który z dalekich krajów przybył ze zbrojną drużyną (argonauci) aż do Kolchidy, po *złote runo*, niezmiernie ściśle strzeżone. Było to po prostu złodziejstwo na otwartéj drodze, bo pod złotém runem należy rozumieć wielkie skarby, które Jazon postanowił sobie przywłaszczyć, i które rzeczywiście przywłaszczył, dzięki pomocy Medei. Po dokonaniu takiego czynu niecnego, nic innego naszym kochankom nie pozostało jak zmykać co rychléj do ojczyzny Jazona; co téż i zrobili, a podczas téj ucieczki Medea nową splamiła się zbrodnią, bo własnego brata Absyrtosa, razem uciekającego, zabiła i posiekawszy w kawałki w morze rzuciła. Nieszczęśliwy ojciec, goniąc występną parę, zbierał po głębiach morskich te drogie szczątki, i tym sposobem niechcący pozwolił umknąć im szczęśliwie do Jahos, ojczyzny Jazona. Tu żył naówczas król Pelias, stryj Jazona, którego godny synowiec postanowił za pomocą Medei zgładzić: zatwardziała ta zbrodniarka namawia córki Peliasa by go zabiły i uwarzyły ciało jego, przez co nietylko się mu nic złego nie stanie, ale owszem, odmłodnieje na nowo, jakby się drugi raz na świat narodził. Nierozsądne córki usłuchały rady, popełniąc tym sposobem ojcobójstwo, a zacne stadło uciekało do Koryntu, gdzie wreszcie po dziesięciu latach pożycia, Jazon porzucił ją i połączył się z Glaubą.

Straszna zemsta zakipiała w łonie Medei: udając, że się niby zgadza z losem, posyła przez swoich synów rywalce zatrute szaty i djadem w podarunku. Nienawiść jéj zdawało się została nasyconą, bo nie tylko Glauba ale i Jazon zginęli w płomieniach, które z tych szat wybuchły. Nie tak jednak było w istocie. Nie zadowolona temi ofiarami, zabija własne swe dzieci z Jazonem spłodzone, i odtąd pędzi rozmaite koleje życia, zawsze okrutna, zawsze nienasycona krwią i rozpustą.

Mnóstwo sławnych dramatopisarzy, poetów malarzów, snycerzy, uwieczniło tę prawdziwą czarownicę, to piórem, to pędzlem, to rylcem. Eschyles i Sofokles, greccy tragicy, Owidjusz, rzymski poeta, pisali o niéj tragedje, które jednak zaginęły. Eurypides i Seneka, pierwszy Grek, a drugi Rzymianin, pozostawili o niéj dramata, że już nic nie powiemy o Niemcach i Francuzach, którzy z rozmaitym szczęściem starali się ją uwiecznić swém piórem.

Widzimy więc, że rola pani Ristori nie jest wcale sympatyczną, i owszem, największą zgrozę obudza. To też tém większa zasługa pani Ristori, jako artystki, że będąc zacną w gruncie niewiastą, tak ohydną potrafiła zrozumieć i wystawić rolę. Widząc ją w téj roli, dopiéro poznać możemy, co to jest dobry artysta lub artystka. Ona się zupełnie *wciela* w swoję rolę, twarz jéj nawet nabiera jakiegoś złowrogiego wyrazu, usta stają się sine i drżące, oczy pałają piekielnym ogniem, głos dźwięczny z natury, staje się ostrym jak sztylet, a syczącym jak wąż. Kobieta zupełnie tu ginie, pozostaje ar-

tystka, zapomina się o pani Ristori, a widzi się tylko Medeę, której każde uczucie jest nienawiścią, każdy czyn zbrodnią.

Ktokolwiek dobrze się jéj przypatrzył, pewnie nazawsze ohydzi występek, i zamiłuję cnotę.

Moglibyśmy, przy nadarzonéj zręczności, pomówić z naszymi czytelnikami o dramie w ogólności, a o tragedji i komedji w szczególności, ale pogadankę tę odkładamy na czas późniéjszy, bo o takich rzeczach można przydłużéj trochę i z większém zastanowieniem pomówić.

M. K.

SZTUKA KUCHARSKA W POLSCE.

Gdy jeszcze przodkowie nasi żyli w stanie pierwotnéj prostoty, pożywieniem ich był kawał ugotowanego lub upieczonego mięsa, ziarno z początku surowe, późniéj prażone lub gotowane, na wzór znanéj po dziś dzień kutji, mąka przyprażona i ukropem zlana, placki zwane podpłomykami i tym podobne inne, zdrowe choć nie wybredne potrawy. Dzisiejsze potrawy naszego ludu wiejskiego, barszcz, żur, polewka, kluski, piérogi, rozmaite kasze, jarzyny, grzyby, pochodzą także z bardzo dawnych czasów; niegdyś nawet możny szlachcic poprzestał na nich, z tą tylko rożnicą, że na stole jego skromne te potrawy bywały dobrze okraszone omastą, podczas gdy chłopek poprzestawał na postnych, i że główną część obiadu szlachcica stanowiła zwierzyna, najczęściéj własną ręką gospodarza ubita, chłopek zaś jadał mięso bardzo rzadko, i to tylko w największe uroczystości. Lud wiejski z dawnemi zwyczajami aż dotąd przechował potrawy, jakich przed wiekami używał, ale u wyższych stanów sztuka kucharska doskonaliła się, postępowała i w nie zbyt długim lat okresie doszła do wyższego stopnia.

Kucharz na dworze znakomitego pana w Polsce była to nie lada figura; miał patent napisany złotemi literami na pargaminie, wystawiony przez najsławniejszych mistrzów sztuki kucharskiéj, ci zaś, dbając o swój honor, patentu takiego nie udzielali byle komu. Chcąc go uzyskać, trzeba było długie lata wycierać kąty po zozmaitych kuchniach, dla większego wydoskonalenia, odbywać podróże za granicę, a nareszcie kończyć edukacyę w kuchni królewskiéj a przynajmniéj prymasowskiéj. Wyzwoliny nakoniec poprzedzała uczta, którą kandydat musiał sam zarządzić i przyrządzić, a do téj uczty zasiadali ci właśnie najbieglejsi kuchmistrze, co mieli wydać wyrok i wystawić patent.

Wielcy panowie rok rocznie ogromne summy wydawali na kuchnie. Do przyprawiania potraw, prócz miodu, maku, octów, soków i ziół przeróżnych krajowych i zagranicznych, używano z wielkiem upodobaniem korzeni i to w tak wielkiéj ilości, że nie jeden z znamienitych dworów zakupywał je na raz za kilkanaście i kilkadziesiąt tysięcy złotych. Prócz tego woda różana, złoto malarskie, piżmo, niezbędnym były artykułem. W aptekach przedawano różne drogie olejki i esencye, w domu przysposabiano rozliczne extrakty i buljony. Spiżarnie bywały bardzo obficie zaopatrzone, i to co się tam zwykle znajdowało, z łatwością mogło było na rok cały dla kilku rodzin wystarczyć.

Wspomnimy tutaj niektóre potrawy, używane w dawnych wiekach przez stany średnie i wyższe. Wiele z tych potraw a mianowicie krajowych i tylko wydoskonalonych, przechowało się aż do naszych czasów, niektóre widujemy na naszych stołach pod innem nazwiskiem, inne wreszcie zaginęły.

Barszcz burakowy z rurą, postny lub zabielany, kapuśniak, krupnik z perłowemi krupami, rosół, zupa grochowa i szczawiowa, chołodziec Litewski, zupy z piwa, z owoców, z pomidorów były w Polsce od wieków powszechne. Z tych barszcz, równie jak i dziś najbardziéj bywał ulubionym. Dobrze przyprawiony zwano *królewskim*, która to nazwa przechowała się dotąd. Robiono także zupy z krwi gęsiéj, wieprzowéj, z jarzyn, buljony zaś z Francyi przyniesione dopiero późniéj nastały.

Po zupie dawano zwykle kiełbasę, potem różne mięsne potrawy, a najprzód sztukę mięsa, wołową u uboższych, z bawołu, tura, żubra, łosia, u panów. Z mięsnych potraw wiele zaginęło już bez śladu, a między temi gęś w czarnéj jusze, do któréj sos robiono ze słomy palonéj. Frykasy, pulardy, pasztety przybyły do nas z zagranicy. Pasztety ubierano figurami przedstawiającemi zwierzęta, z których były robione, a figury te były złożone, lub też własnemi piórami albo siercią odziane i wyglądały jak żywe. Pieczyste przyrządzano z grubego zwierza, jakiego już wcale nie mamy, z ptastwa domowego i dzikiego. Skowronki były także jadane. Za przysmak poczytywano łapy niedźwiedzie i chrapy łosie, a skopowina nie śmiała pokazać się na znamienitszym stole. Do pieczystego dawano *kondymenty* czyli sosy, a bywały one przeróżnego smaku i koloru, jedne lepsze od drugich.

W dnie postne głównem daniem były ryby. Dla smaku gotowano je w winie, a że przodkowie nasi byli bardzo skrupulatni w zachowywaniu postów, nie przyprawiano ich z masłem, lecz z oliwą lub olejem; pomimo to jednak przyznawali cudzoziemcy, że w żadnym kraju nie umiano tak smacznie ryb przyrządzać jak w Polsce. Było kilku panów co w pewnych razach, nie spuszczając się na kucharzy, sami gotowali ryby w srebrnych rądelkach. Aby mieć zapas ryb na każde zawołanie, bywały po dworach dobrze urządzone sadzawki, osobne na szczupaki, osobne na karpie. Te ostatnie przyuczano przybiegać do brzegu na odgłos dzwonka i karmiono z upodobaniem. Lubiono także i karmiono raki. Bobry do ryb liczono i w dnie postne robiono z nich kiełbaski i potrawki. Plusk, czyli ogon bobra, najbardziéj był ceniony.

Wysoko postąpiła także u nas sztuka przyrządzania rozmaitych legumin, zacząwszy od pospolitych kaszy ze szwedami aż do najwyszukańszych *antypacików*. Do pospolitszych należały *śliwki*, kluseczki makiem zatarte, kołduny litewskie, makarony polskie i włoskie, pempuchy czyli pączki; więcéj delikatne były andruty, płaskury czyli opłatki, *bliny* robione z mąki z prosa.

Jarzyny i ogrodowiny dziś używane, znane już były w Polsce za Zygmunta III. Marchew zwano naówczas *karotą*, rzepę *kolmikiem* lub bytomką, kapustę ogrodową, *brzoskwią*, a groch włoski, *cieciorka*. Najpóźniéj przybyły do nas ziemniaki, za to upowszechniły się bardzo prędko, i w krótkim czasie stały się głównym kmiotka pokarmem. Sprowadzili je do Polski koloniści sascy, których August III osadzał w dobrach królewskich. Polacy z początku brzydzili się ziemniakami i uważali je za szkodliwe zdrowiu, ale w końcu panowania tego króla, były już

dobrze znane we wszystkich prowincyach, a wkrótce i wódkę zaczęto z nich wyrabiać.

Jaja stanowiły zawsze jeden z najważniéjszych artykułów w sztuce kucharskiéj, a używane były nie tylko jaja zwykłego drobiu, ale także pawie i łabędzie, rozumie się na pańskich stołach. Potrawy z jaj miały rozmaite, dziś już nieznane nazwiska, jako to *fryty*, *pertuty*, *tretowany arumszmalc*, *szarpanina*, *omlet* i t. d.

Z użyciem mleka robiono przesławne *melchmusy*, *rosiaty*, arkaty, bianki. Za największy przysmak i arcydzieło szuki kucharskiéj uchodziła bianka z mleka słodkiego, migdałów, cukru, rosołu, opiekana w formach z wodą różaną i innemi pachnidłami, tudzież z marcypanem. Co dziwniejsza, wchodziły do niéj także i wędzone ozory. Potrawę tę dawano na stołach królewskich; za Zygmunta III tylko trzy razy podczas największych uroczystości.

Sztuka cukiernicza była w Polsce za dawnych czasów ściśle połączona z kucharską, tak że kuchmistrz musiał być oraz cukiernikiem, a na stołach królów i panów ustawiano dla ozdoby przepyszne wyroby cukiernicze. Na środku stołów znajdowały się największe i najwspanialsze, które podczas wielkich uroczystości, np. na ucztach weselnych, bywały arcydziełem w swoim rodzaju. Na uczcie weselnéj Władysława IV zdobiły stół królewski dwie piramidy, z których każda miała po pięć łokci wysokości. Podczas innych uczt, mniéj ważnych, piramidy bywały także niższe, niemniéj przeto zrobienie ich wymagało sztuki i zręczności, a przedewszystkiem dowcipu, to bowiem co miały przedstawiać, musiało być w związku z okolicznościami towarzyszącemi uczcie. Jeżeli uczta dana była na cześć króla, dygnitarza lub sławnego wojownika, piramidy musiały składać się z obrazów przedstawiających ważniejsze ich czyny. Na ucztach dawanych dla posłów, piramidy przedstawiały Olimp, gdy podejmowano biskupów i innych dygnitarzy kościoła, były ozdobione infułami, krzyżami, pastorałami i t. p. Posłowie tureccy przyjmowani na dworach panów polskich, poznawali nieraz w piramidach widok Stambułu, lub wizerunek sułtana otoczonego dworem i t. p. Starano się także aby piramidy przedstawiały obrazy wesołe przy ucztach wesołych, a smutne przy pogrzebowych. W późniejszych czasach zdobiono piramidy różnokolorowemi lodami, które topniejąc w miarę ciepła panującego w pokoju, odsłaniały inne widoki. Tak więc kuchmistrz robiący piramidy, musiał być nietylko zręcznym i biegłym w swojem rzemiośle, ale poniekąd musiał także mieć pewne wiadomości z historji, i nie mógł się obejść bez znajomości herbów szlacheckich, gdyż te były wszystkie niezbędnym warunkiem całości. Piramidy ustawiano na płytach szklanych lub drewnianych, posypanych piaskiem cukrowym i ozdobionych stósownie, rozmaitego rodzaju figurami.

Najważniejszą częścią każdego większego obiadu był także sekret kucharski np. kapłon w flaszy, ryba nigdzie nierozkrojona z smażoną głową, pieczonym ogonem, i z sosem w środku ryby z mięsem kurzem i t. d.

Najznamienitszą zaś każdéj uczty przyprawą była gościnność gospodarza i gospodyni, cnota, którą przodkowie nasi tak bardzo słynęli i która jest dla nas o wiele droższą po nich puścizną, jak te wszystkie kucharskie sekreta i cała sława przepysznych ich uczt.

Stanisław Nowiński.

HIJENA.

W liczbie drapieżnych zwierząt, zamieszkujących gorącą strefę naszéj ziemi, a mianowicie Afrykę i część Azji, mieści się hijena, która pomimo swojéj bojaźliwości, jest nietylko wielce szkodliwą, ale i niebezpieczną dla ludzi.

Zwierz ten z podobieństwa swojéj postaci i wewnętrznych przymiotów, jest niejako pośrednim pomiędzy psem a kotem, z większém jednak zbliżeniem do pierwszego. Pysk ma gruby, miernie wyciągnięty, tępy, z nosem podobnież nagim jak u psów; układ jednak zębowy u hijeny tém się różni od psiego, że ta posiada mniéj zębów trzonowych. Chrapy i język podobne są do kociego. Uszy ma duże, szerokie, ostrokończaste, prawie nagie; oczy duże, wypukłe; nogi czteropalcowe z silnemi, tępemi, usposobionemi głównie do kopania pazurami; podeszwy włosiste, ogon niezbyt długi, kiściasty; sierść gruba, szczecinowata, mniéj więcéj długa; na karku i grzbiecie grzywa najeżona i pochylająca się na boki. Nogi tylne hijena tak pod siebie podgina, że zdają się one być nierównie krótszemi od przednich, a ztąd poziom grzbietowy znacznie pochylony ku tyłowi. Skutkiem tego chód tego zwierzęcia jest niezwykły i zdaje się jakby chromający. Okoliczność ta nietylko dawniéj była, ale i obecnie jest jeszcze powodem mniemania, jakoby nogi tylne rzeczywiście nie wyrównywały przednim swą długością. Pod samą osadą ogona znajduje się gruczołkowaty woreczek, wydzielający ciecz tłustą i bardzo śmierdzącą.

Rodzaj tych zwierząt dzieli się na trzy gatunki; z tych do najpospolitszego należy *hijena pręgowata*, rudawo-szara i czarniawo pręgowana, którą tu macie na załączonym rysunku z dużą grzywą; żyje ona tylko w północnéj Afryce i w Azji południowo-zachodniéj, zacząwszy od Kaukazu i gór Ałtajskich aż do Indyi. *Hijena brunatna*, stanowiąca już drugi gatunek, różni się od pierwszéj długim i obwisłym włosem brunatnym, jaki pokrywa całe jéj ciało; żyje zaś tylko w nadmorskich okolicach południowéj Afryki. Nareszcie do trzeciego gatunku należy przewyższająca wzrostem oraz dzikością i chytrością poprzednie *hijena plamista*, nakrapiana czyli cętkowana, która jest jak pierwsza barwy rudawo-szaréj z czarniawemi zaokrąglonemi plamami, ale krótką grzywą na grzbiecie; zamieszkuje środkową Afrykę i przylądek Dobréj Nadziei. Hijena przebywa zwykle w okolicach górzystych, gdzie kryje się w jaskiniach, szczelinach i t. p. jamach.

W Ameryce zwierz ten nieznajduje się, jak również nieznany jest w dalszych wschodnich krajach azjatyckich; w Europie snadź istniał kiedyś przed tysiącami lat; dowody tego bowiem znajdują się w pokładach ziemnych, w mniejszych lub większych szczątkach kości, z tak zwanéj w nauce *Hijeny kopalnéj* czyli *przedpotopowéj*.

Brzydkiéj i niekształtnéj powierzchowności, zwierzęta te mają odrażające obyczaje, są złośliwe i wrzaskliwe; żywot w ogóle wiodą nocny i po większéj części gromadny, przynajmniéj w niektórych okolicach. Pomimo znacznéj swéj siły i wielkości, prawie wyrównywającéj wilkowi, żywią się one więcéj ścierwem zdechliny, choćby najbardziéj zgniłém. Nie gardzą jednak żywym łupem, owszem napadają domowe zwierzęta, a nawet i dzikie, ale dopiero w ostatniéj potrzebie. Hijena zwykle bywa rada ze spotkania się ze lwem w swojéj nocnéj wyciecz-

ce; wtedy bowiem idzie za jego śladem i żywi się wszelkiemi resztkami jego zdobyczy. W tym celu śledzi podobnież za innemi zwierzętami drapieżnemi, a nawet za sępem, orłem i t. p. ptakami. W nocnych swych wycieczkach hijeny tak są śmiałe, że wchodzą do mieszkań ludzkich po miastach i wsiach, gdzie oczyszczają ulice i dziedzińce ze wszelkiéj tam porzuconéj przez niedbalstwo i niechlujstwo mieszkańców nieczystości i mięsnych odpadków; zachodzą także i na smętarze, gdzie odgrzebują trupy i chciwie je pożerają. Jest to więc zwierz żarłoczny i obżarty. Hijena spotkawszy podróżnych, a w tamtych krajach podróże odbywają ludzie gromadnie czyli tak zwaną karawaną, postępuje za niémi w nadziei znalezienia jakiéj strawy lub sposobności rzucenia się na człowieka; podobnież znienacka napada pasterzy. Wszystko co spotka w uśpieniu, staje się nieochybną jéj pastwą. Otwartéj walki z człowiekiem zwykle unika, ale gdy jest zaczepioną, zwraca się przeciw niemu z uporczywą zaciętością i odwagą.

Jednego razu pewien uczony podróżnik, zajęty postrzeżeniami astronomicznemi, posłyszał jakiś szelest za sobą; obrócił się i ujrzał w ciemności parę błyszczących oczu. Zażegł światło i u wezgłowia swego łóżka zobaczył hijenę, trzymającą w pysku kilka paczek świec łojowych, w które się był zaopatrzył. Z obawy, aby nie uszkodzić narzędzi astronomicznych, nie mógł on użyć strzelby; hijena zresztą, zajęta swoją zdobyczą, nie zdawała się mieć ochoty napadania na niego. Bez bojaźni więc pochwycił za dzirit i wpakował go w piersi zwierzęcia, dzierżąc oburącz z całych sił, aby się nie mogła rzucić na niego, a ku czemu widocznie robiła najstraszliwsze usiłowania. Szczęściem, że nadbiegły służący uderzeniem maczugi zgruchotawszy łeb, ubił ją na miejscu. Hijena, jak wszystkie zwierzęta z rodzaju kotów lub pokrewne z niémi, posiada wielkie siły żywotne.



Hijena pręgowata.—(Wycięto w drzeworytni Minhejmera).

Niekiedy się zdarza, że gromada hijen napada osady ludzkie jawnie. I tak pewną wieś, pomimo cierniowego, na sześć stóp wysokiego ogrodzenia, wzięły one raz formalnie szturmem i mimo zbrojnego oporu jéj mieszkańców, rozszarpały i uniosły dwa woły.

Pomimo jednakowoż takiéj swéj szkodliwości, hijena niemałą przytém świadczy przysługę ludziom uprzątaniem wszelkiéj zwierzęcéj zgnilizny, w gorących krajach swéj ojczyzny, gdzie skutkiem wielkiego upału, wszelaki trup ulega rychłemu rozkładowi, i w krótkim czasie napełnia powietrze zabójczemi miazmami, z czego następnie wywiązuje się morowa zaraza.

Hijena daje się wreszcie obłaskawić i staje się domowém zwierzęciem jak pies lub kot.

Jak o wszystkich niemal zwierzętach, dopóki te nie zostaną dokładnie poznane, i o hijenach długi czas utrzymywały się różne błędne i przesądne mniemania. Uważano je niegdyś za dwupłciowe lub za mające zdolność zmieniania swéj płci corocznie. Mniemano także, że nie są zdolne wykręcać karku i że w takiéj potrzebie muszą się zwracać całém ciałem; że mogą naśladować głos człowieczy i t. p. Niedorzeczne te zdania przekazał nam piśmiennie między innymi, Rzymski pisarz Plinjusz, żyjący przed XVIII wiekami. *Ad. N. Nakęski.*

ROZMAITOŚCI.

— *Piorun.* (*Zdarzenie prawdziwe*). W pewnéj wsi w Łęczyckiém mieszka dziedzic Karwosiecki, otoczony miłością i poważaniem swoich niegdyś włościan we wsi, którzy dzisiaj stali się jego współ-obywatelami i sąsiadami, nie mniéj jednak szczere jak dawniéj żywią dla niego uczucia. Serce człowieka nie łatwo podlega zmianom, tam gdzie uczucia tegoż na moralnéj wsparte są podstawie.

W pierwszych dniach Czerwca roku bieżącego, z zachmurzonych niespodzianie Niebios wypadł piorun, i zapalił zabudowania dworskie tegoż dziedzica, dosyć pomiędzy sobą ścieśnione, tak że w jednéj chwili zagroziło niebezpieczeństwo postradania ich wszystkich. Przerażała nadto myśl, że włościanin nasz, rządząc się przesądném przekonaniem, jako by ognia wznieconego przez piorun, jako zesłańca samego Boga, gasić nie wolno, nie pospieszy wcale z pomocą, lecz przeciwnie, jak dotąd niestety często się u nas zdarza, z założonemi rękami przypatrywać się będzie dziełu zniszczenia.

W obecnym wypadku prawdziwe przywiązanie odniosło świetne i miłe Bogu zwycięztwo nad przesądem. Włościanie nie tylko miejscowi, ale i okoliczni z wójtem i sąsiadami na czele, zdążyli jak najspieszniéj na miejsce pożaru, i pod kierunkiem ożywionego nadzieją dziedzica, opanowali ogień o tyle, że nie wszystko stało się pastwą płomieni, owszem znaczna część budynków, dzięki usilnym staraniom, ocaloną została.

Kiedy poszkodowany ze łzą w oku wynurzał swą wdzięczność zacnym sąsiadom, ci, widząc jego znaczne zawsze straty i naturalny bardzo smutek, jaki osłonił cieniem spokojne jego lica, po chwilowéj między sobą naradzie, otoczyli go wieńcem prosząc, by się o przyszłość nie troszczył, bo oni w imieniu swoich gmin przyrzekają uroczyście, że postarają się o to, ażeby ich dawny kochany *pan* jeszcze przed żniwami miał odbudowane to wszystko, co przed chwilą ogień zniszczył.

W tym czynie chrześciańskim przyjęli następnie chętny udział i inni sąsiedzi, dziedzice oddzielnych włości.

W skutek tych wspólnych usiłowań, w przeciągu jakich dwóch tygodni, pocieszony w przygodzie dziedzic, widział jak na miejsce pogorzeliska zwieziono budulec z lasów o mil dwie i trzy odległych, i inne materjały, których wartość wynosiła kilka tysięcy rubli, a on po to nie posłał ani jednéj swéj podwody, i blizkie powetowanie swych strat zawdzięcza jedynie temu, że umiał swojem postępowaniem zaskarbić serca prostomyślących włościan. Oby takie przykłady jak najwięcéj szerzyły się po naszym kraju, a istne Niebios błogosławieństwo czuwać nad nim będzie!

Za wiarogodność tego zdarzenia ręczymy, i bliższych w téj mierze szczegółów w swoim czasie naszym czytelnikom udzielić nie omieszkamy. *A-y.*

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.